

- W jakiej formie to czynił?
- Brał na wózek moją torbę...
- Mógł się pomylić...
- Nie mógł... Moja była „Adidasa”...
- Takich mieliście sporo w drużynie...
- Moja była tylko jedna... Żółta!
- A jak oskarżony wracał z przemytem do kraju?
- Szedłem zawsze „za cieniem”...
- Co to znaczy „za cieniem”?
- Tuż za kierownictwem ekipy... Generałów i pułkowników nigdy nie kontrolowali... Trzymałem się władzy...
- A oskarżony Żmijewski też tak sobie radził?
- Proszę wysokiego sądu, to „Jojo”, znaczy Żmijewski już też jest oskarżony? To dobry chłopak. Ciułał w różny sposób grosze na sprezentowanie choremu ojcu, kierowcy – samochodu osobowego... By mógł prowadzić prywatną taryfę...
- Gdzie oskarżeni zaopatrywali się w złoto?
- To zdarzyło się tylko raz, na tureckim bazarze... Jak graliśmy w Stambule z Galatasaray, to się tam wybraliśmy. Oczy nam oślepiło. Tyle złota!!!... Żal było by zrezygnować z takiej okazji. Mieliśmy trochę „zielonych”. Kupiliśmy...
- Wywóz dewiz jest zakazany.
- Proszę policzyć, ile granic przekracza piłkarz radziecki na przykład w drodze z Moskwy do Madrytu...
- Co to ma wspólnego z dewizami i oskarżonym? – oburza się prokurator.
- Ma, proszę wysokiego sądu... Zaraz to wyjaśnię, ZSRR, Polska, NRD, RFN, Francja, Hiszpania... Za każde przekroczenie granicy już w latach sześćdziesiątych Lew Jaszyn i jego koledzy otrzymywali po pięćdziesiąt dolarów...

Mnożymy przez sześć granic... To razem trzysta!... A my w Polsce dostajemy po dwa „zielone” kieszonkowego... Przecież to kpiny...

– Czy tylko oskarżeni wywozili dewizy i kryształki...

– Wszyscy! I inne towary też... Tam za bezcen kupowaliśmy koszule, bluzki, sweterki, ortaliony... Trzeba było zarobić na życie... W Legii nie było pieniędzy. Na premię za remisowy mecz z Feyenoordem w Warszawie składali się oficerowie... Wyszło po 608 złotych na osobę... Niektóre kluby cywilne za „puszczenie” meczu oferowały nam dużo większe pieniądze...

POLSKI FINAŁ NA PRATERZE

W Górniku Zabrze takich problemów nie było. Kłopot polegał tylko na tym, jak w miarę szybko i bez większego rozgłosu wzmocnić i tak już silną drużynę. Jak mocną? W kraju nawet trener Edmund Zientara uważał, że kadrowo Górnik jest lepszy od Legii.

– Zatem w czym przejawia się przewaga Legii nad Górnikiem? – pytałem Zientarę.

Górnik ma w swoich szeregach więcej wybitnych indywidualności. Weźmy pod uwagę choćby świadczenia tych klubów na rzecz reprezentacji. W doskonałym meczu Polska – Bułgaria na Stadionie Dziesięciolecia wystąpiło aż pięciu piłkarzy z Zabrza, natomiast z Legii tylko dwóch. A jednak w lidze Legia rzeczywiście jest lepsza. W sezonie 1969/1970 wygrała oba mecze z Górnikiem. Nasz zespół jest bardziej wyrównany i w tym tkwi jego siła. Gramy bez nagłych zrywów, równo, nie ma u nas „huśtawki formy”. Jesteśmy zgrani, tworzymy dobrze rozumiejący się zespół. Każdy na miarę swoich możliwości właściwie wykorzystuje swoje atuty. Ale musimy grać jeszcze szybciej i skuteczniej.

Właśnie tej szybkości i skuteczności zabrakło legionistom w meczach z Feyenoordem. Nie byli dobrze przygotowani do tej rywalizacji. Górnik Zabrze był w znacznie lepszej sytuacji. Przede wszystkim Michał Matyas zastąpił Gezę Kalocsaia. Pojawiła się nowa jakość szkoleniowa. W drużynie na dobre zaaklimatyzował się Jan Banaś z Polonii Bytom, coraz częściej w podstawowym składzie grali Władysław Szaryński z Arkonii Szczecin i Hubert Skowronek ze Śląska Wrocław. Nie udało się ściągnąć do Zabrze Kazimierza Deyny z Legii i Andrzeja Jarosika z Zagłębia Sosnowiec, ale przeszli tam Jan Wraży z GKS Katowice i Zygmunt Anczok z Polonii Bytom, potem jeszcze Jerzy Wilim z Szombierek. To już prawie reprezentacja Polski! Takie były wtedy możliwości Górnika Zabrze, jego prezesa Eryka Wyry – w Ministerstwie Górnictwa dyrektora naczelnego kadr. Ten urząd i ta w nim wysoka pozycja prominenta ułatwiały zabrzanom ówczesne „transfery” i racjonalne szkolenie.

Klub nie miał żadnych kłopotów z należytym przygotowaniem się do ćwierćfinałów PEZP. Trener Matyas wykorzystał szansę „łapanie formy” na mecze z Lewskim Sofia w Ameryce Południowej. W idealnych warunkach – jak dla „PS” informował mnie telefonicznie „pan Michał” – górnicy trenowali, rozgrywali mecze i... odpoczywali. Kolumbia, Ekwador, Peru, Chile! Pięć tygodni w zupełnie innym świecie i kilka wartościowych wyników. Forma w górę! I sporo forsy do kasy klubu i kieszeni zawodników!

Procentowało to najpierw w bardzo wyrównanych meczach z Lewskim Sofia (2:3 i 2:1), no i przede wszystkim w arcydramatycznych pojedynkach z AS ROMA. Trzy razy 1:1 w normalnym czasie: w Rzymie, Zabrze i Strasburgu. Losowanie. Tu szczęście uśmiechnęło się do zabrzan. Jan Ciszewski, który relacjonował w telewizji wszystkie te mecze, mógł wreszcie w wielkim uniesieniu ogłosić całej piłkarskiej Polsce: – Orzeł! Górnik! Polska!... Górnik w finale Pucharu Zdobywców Pucharów Europy!

Decydujący mecz odbył się w Wiedniu na słynnym Praterze. Rywalem zabrzany był Manchester City. Zespół dobry, choć już nie tak mocny jak Manchester United. Zdobywca Pucharu Polski przegrał jednak 1:2. Manchester prowadził 2:0 po strzałach Younga i Lee'a. Bramkę dla Górnika zdobył stoper Stanisław Oślizło. Polacy przeważali. Anglicy grali zachowawczo, bronili wyniku. Rok później legionieści w Pucharze Mistrzów, a górnicy w Pucharze Zdobywców Pucharów, znowu reprezentowali w Europie nasze klubowe piłkarstwo. Wojskowi, choć osłabieni kadrowo wystartowali znakomicie – 4:0 z IFK w Goeteborgu i 2:1 w Warszawie. W bramce pojawił się Zygmunt Kalinowski. Teraz Legia wyeliminowała Standard Liege. Zwycięski rewanż w Warszawie (2:0) był – dotychczas – najlepszym występem polskiej drużyny w europejskich rozgrywkach pucharowych. Znowu ćwierćfinał!

W „Przeglądzie” kierowanym teraz przez Andrzeja Jucewicza „nie pasowałem do koncepcji ideologicznej”. Jeden z najaktywniejszych zwolenników „rewolucji kadrowej”, gdy nie przystałem na jego dyktat, najpierw pozbawił mnie kierownictwa w dziale piłkarskim, potem wyrzucił z redakcyjnego kolegium, wreszcie – w porozumieniu z dyrekcją wydawnictwa – dał kopniaka w górę. „Uszczęśliwiono” mnie szefostwem w miesięczniku „Piłka Nożna”. Zygmunta Głuszka, Magdę Jankowską, Jacka Samulskiego, Witolda Szeremetę, Wacława Koryckiego i Witka Duńskiego spotkał podobny los. Niby wszyscy awansowali, niektórzy kierowali nawet innymi redakcjami, ale prawdy ukryć się nie da – w „PS” za funkcjonował system BMW. Padł dawny „Przegląd...” ceniony w kraju i w Europie. Z małymi wyjątkami zostali głównie B(ierni), M(ierni), ale W(ierni). Uzupełnili tę grupę bliscy znajomi „Juca”, głównie z redakcji „Głosu Pracy”, „Sportu dla wszystkich” i „Sportowca”, gdzie wcześniej sam pracował.

Jucewicz w miarę szybko zaczął „doskonalić”, a właściwie obalać dotychczasową formułę gazety. Miała charakter przede wszystkim sportowy, wszak już

sam tytuł do tego zobowiązywał, w tym mocno piłkarski. Teraz „Przeгляд” coraz wyraźniej stawał się nadmiernie pryncypialny, upolityczniony, pseudopatriotyczny. Czołówki gazety pełne były wiernopoddańczych manifestów: „**Ślubujemy Tobie Ojczyzno**”, „**Sto lat dla Władysława Gomułki**”, „**Młodzież zawsze wierna Partii**” i dziesiątki podobnych sloganów. Tylko w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych równie dużo było tego rodzaju deklaracji. O piłce nożnej pisali teraz głównie zaufani naczelnego, a znajomość futbolu przez niektórych z nich była równa zeru. Z przekąsem mawiał wówczas były reprezentacyjny piłkarz i ligowy trener Władysław Giergiel: – *„Znają grę w piłkę nożną z okien pociągu pociągów...”*

Trwała, nie tylko w ówczesnym „PS”, także w innych pismach sportowych i codziennych fascynacja osiągnięciami drużyn klubowych. To zrozumiałe, Górnik i Legia zaszły daleko, reprezentacja została w dołkach. Przy okazji jednak serwowano pomysły, które w naszych ówczesnych warunkach były zwykłą fanfaronadą. Biedakom odciętych od Zachodu kazano się wzorować na krezusach z Realu Madryt, Manchesteru United, Interu i Milanu. Dziś też jest to praktycznie niemożliwe, cóż zatem mówić o schyłkowych czasach Władysława Gomułki? Przy tak absurdalnych wizjach wobec klubów, zapomniano o sprawach istotnych dla reprezentacji. Tu i ówdzie stawała się dla ligowców kulą u nogi. W miesięczniku „Nasza Legia” pisano na przykład:

...Drużyny Legii i Górnika nie mają lekkiego żywota, bo do rozgrywek ligowych i międzynarodowych dochodzą świadczenia na rzecz kadry narodowej, co niewątpliwie rzutuje na tok klubowego szkolenia. A w „Sportowcu” Kazimierz Deyna wyznał z rozbijającą szczerością:

...W reprezentacji gra się z większą odpowiedzialnością i o większą stawkę. Ale za grę w klubach dobrze się płaci, natomiast w reprezentacji premie są symboliczne. Nic więc dziwnego, że człowieka ciągnie tam, gdzie można zar-

bić. Mecze klubowe stały się dla kibiców bardziej atrakcyjne niż reprezentacji... I na to nie ma rady. Taka jest aktualnie sytuacja w piłkarstwie europejskim...

Mówiono o bogatej nadbudowie, przemilczano naszą nędzną bazę. Miałem nieco inne zdanie w tej materii. „Naszej Legii” i „Sportowcowi” odpowiedziałem, że to „**Nie ta droga i nie ta granica**”. Byłem za priorytetem reprezentacji. Wtedy żyliśmy w innym świecie, w innych warunkach społeczno-ekonomicznych, w innym ustroju. Nakazy i zakazy siłą rzeczy ograniczały możliwości tworzenia silnych klubów. Smażyliśmy się wyłącznie we własnym sosie, zagraniczne transfery były pojęciem w ogólnie nieznanym. W tej sytuacji całą sympatię przenosiliśmy na występy reprezentacji. Była ona dla nas wartością największą. Jesienią 1969 roku tylko przez moment wydawało się, że „biało-czerwoni” będą w Meksyku, a już radość i duma rozpierały serca każdego kibica. Może wreszcie świat usłyszy „Mazurka Dąbrowskiego”? Realów i Manchesterów w systemie „realnego socjalizmu” nie zbudujemy, ale na dobrą reprezentację to chyba nas stać – takie było końcowe credo mojej publikacji..

Prezesem PZPN był wówczas Wiesław Ociepka. Wyszedł z klubu, sympatyzował głównie z Zagłębiem Sosnowiec, ale mój wywód w sprawie roli reprezentacji wyraźnie przypadł mu do gustu. Polskie piłkarstwo wymagało zmian, reform, systematycznego zbliżania się do norm obowiązujących w Europie. Obowiązujący system był tu niewątpliwie hamulcem, zwłaszcza w kwestii zmian klubowych (transferów) i oficjalnego wynagradzania piłkarzy, bariery były bardzo szczelne. Ale na arenie międzynarodowej mogła zaistnieć drużyna narodowa, więcej – powinna być wizytówką polskiego piłkarstwa. W drodze „szczególnego wyjątku” – wtedy terminu dość często nadużywanego w PZPN – dla „Sportu” Katowice, właśnie na ten temat przeprowadziłem wywiad z prezesem PZPN, a w miesięczniku „Piłka Nożna” uznałem za konieczne wznowienie dyskusji o statusie piłkarzy. Czyści amatorzy, amatorzy państwowi czy zawodowcy?

PZPN już w końcu 1970 roku wydał głośny na owe czasy komunikat 20/70, traktujący właśnie o zmianie barw klubowych przez piłkarzy. Informowano, że *„każdy zawodnik może zmienić przynależność klubową, jeśli zwróci się o to pisemnie do swego macierzystego klubu”*. Może otrzymać: · zwolnienie definitywne · okresowe · wykreślenie (dwuletnia karencja) · skrócenie karencji · przeniesienie z „urzędu”. To ostatnie tylko w wypadku zmiany miejsca pracy, podjęcia pierwszej pracy po studiach, a także przejścia z klasy niższej do wyższej (maksimum dwóch z jednego klubu), jeśli decydują o tym względy szkoleniowe.

Znowu jakaś kazuistyczna filozofia, znowu jakieś „ni pies, ni wydra” i ani słowa o formach wynagradzania piłkarzy. W tej sytuacji wznowienie dyskusji na ten temat wydało mi się konieczne. Wypowiedzieli się działacze, trenerzy, dziennikarze. Pierwszy głos w tej sprawie na łamach kierowanego przez mnie miesięcznika „Piłka Nożna” zabrał red. Mieczysław SZYMKOWIAK. Artykuł zatytułowany „ZAWODOWSTWO?...” miał charakter typowo dyskusyjny:

... Wszelkie porównania z czołowymi piłkarzami innych krajów są nie na miejscu. Nie ma w Polsce tradycji zawodowstwa, musielibyśmy startować z niższego pułapu, zatem zbyt wielka byłaby różnica w zarobkach piłkarzy z krajów kapitalistycznych i u nas. A skąd brać fundusze na wynagrodzenie graczy? Piłka nożna jest w naszym kraju jedyną gałęzią sportu nie dotowaną przez państwo. Ale nie oznacza to, że jest ona w pełni samowystarczalna. Większość klubów pierwszej ligi ma bilans deficytowy.

Uważamy, że u nas nie ma całego zespołu warunków niezbędnych do wprowadzenia zawodowstwa. Trzeba posiadać głęboką znajomość problemów ekonomicznych, organizacyjnych, prawnych, moralnych, aby wiedzieć, jakie to może pociągnąć za sobą konsekwencje. Ale trzeba też szczerze powiedzieć, że ze wszystkich krajów naszego obozu polscy piłkarze mają najgorsze – pod każdym względem – warunki. Należy im pomóc. Ten odcinek wymaga więc zmiany.

Kazimierz GÓRSKI (trener reprezentacji): – Nie stać nas na pełne zawodowstwo w piłkarstwie, ale nie możemy kroczyć utartymi szlakami, które zresztą nie zdają egzaminu. Jednak w naszych warunkach pełne zawodowstwo nie ma racji bytu. Myślę, że u nas najlepszym rozwiązaniem było by wprowadzenie w I lidze piłkarstwa kontraktowego. Widzę w tym dwojaką korzyść. Kontrakty jasno wyrażałyby formę organizacyjno-szkoleniowej zależności na linii klub – zawodnik, po wtóre – bardziej precyzyjnie określałyby obowiązki i prawa zawodników, a także ich potrzeby bytowe. Zawodnik, który zdecydowałby się na podpisanie kontraktu, musiałby bez żadnych zastrzeżeń poddać się reżimowi treningowemu w klubie i narzuconego sportowego trybu życia i rzecz jasna, zawsze być do dyspozycji klubu.

Edward STRZELECKI (dziennikarz): – W Polsce nie ma warunków, umożliwiających na zdrowych, ekonomicznych podstawach realizację w piłkarstwie zawodowstwa według wzorów zachodnich. Ale u nas obecny stan jest chory. Nie znamy faktycznych potrzeb zawodników i możliwości klubów. A prawda jest taka, że norm ustalonych dla ogółu sportowców, nie można zastosować w stosunku do piłkarzy. Ilość tzw. dni startowych i dni treningowych jest w tej dyscyplinie sportu bez porównania większa, niż w jakiegokolwiek innej. Możliwości normalnej nauki i pracy, o czym mówi się w „prawach i obowiązkach piłkarzy” z lat pięćdziesiątych, są ograniczone. Dla uzdrowienia w tej kwestii stosunków dziś panujących, konieczne jest postawienie sprawy w kategoriach „płacę – wymagam”.

Ten sam dziennikarz, od lat zaprzyjaźniony z ówczesnym kierownictwem paryskiej „L’Equipe”, przedstawił swoje racje także w artykule „**A tak jest we Francji**”:

... Wszyscy najlepsi piłkarze przechodzą we Francji na zawodowstwo. Wynagrodzenie dobrego zawodnika sięga około 10 tysięcy franków. Ponadto pił-

karz otrzymuje premie i ma prawo do sześciotygodniowego urlopu. Jeżeli chodzi o zmianę barw klubowych (transfery), to obowiązuje zasada, że nie kluby zawierają między sobą transakcję, lecz piłkarze podpisują dwuletnie umowy (kontrakty), po wygaśnięciu których wolno im przejść do innego klubu i ustalić z nim warunki finansowe.

I co bardzo ważne: około 30 procent dochodów klubów stanowią dotacje władz miejskich. Subwencje miejskie są regułą i zastępują bliżej nieokreślone i nie zawsze pewne wpłaty mecenasów prywatnych. Dalsze 10 procent dochodów wpływa do klubów ze stowarzyszeń kibiców. Podstawą egzystencji są jednak opłaty za bilety. Jakie z tego wnioski wypływają dla naszego piłkarstwa? Po pierwsze – zdecydowanego umocnienia w naszych warunkach wymaga pozycja Związku; musi mieć więcej uprawnień i możliwości faktycznego kierowania futbolem. Po wtóre – w obecnych czasach polskie piłkarstwo nie może być w pełni samowystarczalne. Musi korzystać z pomocy władz państwowych bądź miejskich. Po trzecie – niezbędne jest uregulowanie praw i obowiązków zawodników, a także klubów w sferze materialnej.

Na początku stycznia 1970 roku w „Przeglądzie Sportowym” jeszcze nie za bardzo chciało się wierzyć, że lada dzień nastąpi zmiana redaktora naczelnego. W środowisku już wielokrotnie (bezsukutecznie) wysyłano Edwarda Strzeleckiego na „zieloną trawkę”, przeto i tym razem puściliśmy te pogaduszki mimo uszu. A jednak nie były to plotki, teraz dni szefa rzeczywiście były policzone. Mocno zaatakowała grupa polskich hunwejbiniów, którzy również w kulturze fizycznej i prasie sportowej dzielnie sekundowali twórcom haniebnego „marca 1968”. Strzelecki odszedł z godnością, w ciszy, bez przekleństw na zły los, bez rozgłosu. Dano mu jeszcze szansę zorganizowania już piętnastego z kolei Balu Mistrzów Sportu. Pierwszy z jego inicjatywy odbył się w roku 1956 w pomieszczeniach Stadionu Dziesięciolecia. Czternaście z nich zaliczyłem w dobrym towa-

rzystwie i zawsze w dobrej formie. Wszystkie w restauracji „Kongresowa” w Pałacu Kultury i Nauki. Niektóre z nich wspólnie z Leszkiem Cergowskim i Magdą Jankowską opisywałem na łamach „PS”.

Pierwszy Bal Mistrzów Sportu w „Kongresowej” upłynął w szczególnie miłej, radosnej i uroczystej atmosferze. Wszak Czytelnicy wyróżnili, a my nagradzaliśmy, głównie naszych olimpijczyków z Melbourne. Zima była wyjątkowo ostra, mróz siarczysty, stroje nie u wszystkich galowe, ale nikogo to nie zrażało, w Pałacu było ciepło i przytulnie. Oprawa na owe czasy fantastyczna: oświetlone plansze, karykatury sportowców, dobra orkiestra, kilka powabnie ubranych panienek, wesolek Lech Cergowski w roli konferansjera. Stoliki ósmio- i czterosobowe, także jeden jeszcze większy – prezydialny. Goście niemal wyłącznie ze świata sportowego, tak–jak przystało na formułę Balu.

Wtedy podejrzanych bogaczy jeszcze nie było, a i politycy tak bardzo nie pchali się na afisz. W ekskluzywnym barze niezłe jednak były trunki, nawet whisky, ale wszystko cholernie drogie. Na popitkę soki z prawdziwych owoców cytrusowych. Pokusa ogromna, ale kieszenie pustawe. Tylko nieliczni goście pędzili na wysokie stołki. Wracali już w tempie znacznie wolniejszym, rozluźnieni, uśmiechnięci, gadatliwi. Parkiet gładki jak lodowisko, łatwo się poślizgnąć i wpaść do fontanny. Ci, co mieli już nieco więcej w czubie, pociągali za sobą partnerki. Niezwykle widowiskowe kąpiele! Dość często kończyły się zapaleniem oskrzeli.

ROCK AND ROLL W „KONGRESOWEJ”

Pierwszy Bal w restauracji „Kongresowa” z różnych względów, nie tylko rozrywkowych, był wyjątkowy. Wciąż odczuwało się klimat „polskiego października”. Nieco więcej otwartości i luzu, większa swoboda i pewność siebie. Atmosfera zabawy we własnym domu, choć w murach postawionych przez „starszego

brata”. W iście pałacowej scenerii na własne oczy oglądamy, podziwiamy i oklaskujemy medalistów Igrzysk Olimpijskich w Melbourne. Najwięcej braw dla lekkoatletki Złotej Eli Duńskiej-Krzesińskiej i szablisty Jerzego Pawłowskiego. W ogóle „ówcześni Wołodyjowscy” uosabiali naszą tęsknotę za pełną wolnością i czynami bohaterskimi.

Jurek stał się w pewnym momencie duszą całego towarzystwa. Ożywił nawet najbardziej zmęczonych. Chwytał za rękę partnerkę, pociągnął na parkiet i zaczął z nią wywijać rock and rolla. Taniec nie nowy, u nas też już znany, ale jakość zupełnie inna, przywieziony z Australii, fascynujący! Mistrz białej broni, artysta na planszy, teraz na parkiecie ujawnia swoje talenty taneczne. Cała sala jego i pojętej dziewczyny. Utrzymują dystans, zbliżają się ku sobie, pochylają, obracają, pracują ręce i nogi, całe ciało. Nikt inny na razie nie tańczy, tylko wlepia oczy w popisy olimpijczyka. Zakręca partnerką, jak żywą śrubką. Piruet na parkiecie. Tak niedawno na Torwarze popisywała się szwedzka łyżwiarka May Briet. Tworzy się kibicowski wianuszek głów wokół rewelacyjnej pary. Każdy chce to zobaczyć, każdy bije brawo. Mocno, z niesamowitą ekspresją przygrywa orkiestra. Ogniste zachodnie rytmy nie są już owocem zakazanym. Otwiera się na świat sportowa stolica.

Nagle z ogromnego koła ciekawskich, ściśniętych wokół fontanny, jak śledzie w beczce, łaknących atmosfery Melbourne, wioski olimpijskiej, przeżyć wolnych sportowców, wyrwała się i dołączyła do tańczącego duetu jeszcze jedna dziewczyna. Rock and roll we troje! Również w tym układzie Pawłowski radzi sobie doskonale. Cergo trąca mnie w ramię: – *Widzisz to, co i ja widzę?!... Wytężam wzrok, oczy już nieco zmęczone, ale wrażenia ukryć nie mogą. Ta druga panienka fruująca z szablistą po parkiecie, to jedna z koleżanek pracujących w naszej redakcji. Gdzie ona się tego nauczyła?!... Na kolejnych Balach w „Kongresowej” rock and rolla równie dobrze tańczył tylko Jurek Iwaszkiewicz.*

Takich i wiele innych niespodzianek na Balach Mistrzów Sportu było znacznie więcej. Głównie stałym bywalcom zawsze dopisywał humor, nowi z reguły też dobrze się czuli, reagowali spontanicznie, ale byli też tacy, których paraliżowała trema. W połowie lat sześćdziesiątych przy jednym czteroosobowym stoliku biesiadowałem wraz z żoną w towarzystwie państwa Danieli i Edmunda Jaworskich. Mundka – sportowego omnibusa, utalentowanego boksera, nauczyciela wf, trenera lekkiej atletyki – znałem jeszcze z czasów niemieckiej okupacji i konspiracyjnych Szarych Szeregów, a później ze wspólnej gry w drużynie piłkarskiej HKS „SKAUT” Skierniewice.

Daniela, jego żonę poznałem dopiero w Warszawie. Była mistrzynią w rzucie oszczepem i dzięki tej sportowej maestrii zajęła dość wysoką pozycję w konkursie – plebiscycie „PS”. Wygadana, odważna, chwilami, jak „baba-chłop”, straciła jednak tupet, gdy miała wyjść na estradę i odebrać nagrodę. Mundek nie pił i nie palił, wiadomo – harcerz i prawdziwy sportsmen, ona też unikała alkoholu. Ale trema ją trzyma. Co robić? Uratowałem dziewczynę. W locie wypiła ze mną po jednym głębszym i... nagle się rozluźniła. Tryskała humorem. „Wyborowa” pomogła. Wielu innym, spożywana w nadmiarze niestety – dość często szkodziła. Zmęczeni zasypiali w WC na sedesach lub prosto z baru trafiali do fontanny.

Bal Mistrzów Sportu w roku 1970 był dla mnie czternastym z kolei i praktycznie ostatnim. Stał się początkiem pożegnania z „Przeglądem” i „erą Strzeleckiego”. Najlepszym sportowcem Polski był wtedy sztangista Waldemar Baszanowski, ale na liście „dziesięciu najlepszych” znaleźli się również dwaj piłkarze – na szóstym miejscu Kazimierz Deyna, a na ósmym Włodzimierz Lubański. Moi dobrzy znajomi. Najlepsi z najlepszych. Włodka poznałem w Gliwicach, gdy miał... 13 lat. Już wtedy późniejszy „Portugalczyk” Jurek Musiałek prosił mnie, abym zapamiętał tego chłopca. – To „cudowne dziecko” futbolu – powiedział. – Już bryluje w zespole trampkarzy. Kilka lat później na centralnym

obozie juniorów wypatrzyłem Kazia. Nie ukrywam satysfakcji, wszak właściwie oceniłem ich talenty. Nie tylko na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych byli w Polsce najlepsi. Dziś też nie mają równych sobie. Blisko „dziesiątki najlepszych” był wtedy także Andrzej Jarosik.

Piłkarz Zagłębia na moją prośbę odwiedził przed Balem 1970 naszą redakcję przy ulicy Mokotowskiej 24. Wspólnie z Waldemarem Baszanowskim i komisarzem plebiscytu red. Zygmuntem Weissem oraz Grzegorzem Aleksandrowiczem i Jerzym Lechowskim wziął udział w losowaniu zwycięzców, to znaczy Czytelników, którzy trafnie wypełnili swoje kupony. Mieliśmy dla nich drobne nagrody. O samochodach wówczas jeszcze nikt nie marzył, wygrać telewizor – to już było duże szczęście. Kuponów napływały dziesiątki tysięcy. Liczyliśmy je sami, odnotowując skrupulatnie, kto pierwszy na liście, a kto dziesiąty. Dane te, pełną dokumentację, przekazywaliśmy „profesorowi”, który sporządzał ostateczne podliczenia i... trzymał w tajemnicy kolejność na liście.

Kupony segregował w paczkach po 500 sztuk. Jedną z nich każdy z nas obowiązkowo musiał przeliczyć bezpłatnie, a za każdą następną otrzymywał 100 złotych. Rekordziści, bo w domu pomagały im rodziny, potrafili w ten sposób zarobić nawet tysiąc złotych. To była niezła „wierszówka”. Honoraria za liczenie kuponów wypłacano tuż przed Balem Mistrzów Sportu. Również inne zarobki starano się przygotować na ten czas. Żeby można było w „Kongresowej” poszaleć... Niektórych nawet tak poważny zastrzyk finansowy nie zadowalał, więc dosłownie za pięć dwunasta grą w karty usiłowali zwiększyć kasę. Będzie jeszcze weselej! Każde starcie przy stole było dobre: kilka rozdań szybkiego pokerka, oczko (Zmarzlik z uporem mawiał – siebzehn und vier), grubo płatna karioka, nawet wariackie makao lub gra w „numerki” na banknotach. Obowiązywała jednak dżentelmeńska umowa – zwycięzca utrzymywał w „Kongresowej” przegrane-go. Gry singlowe były w tej sytuacji najpraktyczniejsze, bo ułatwiały rozliczanie.

Czasu na brydza nie było, bo w domu już czekały wystrojone żony lub zniecierpliwieni mężowie. Tworzyły się isticie wybuchowe pary entuzjastów „numerków” i makao. Mnie, jak to zwykł mawiać, najchętniej „na warsztat” brał fotoreporter Mieczysław Szymkowski. Przed tym moim ostatnim Balem miał jednak pecha, przegrał całą wyplatę. Po trzech błyskawicznych rozdaniach w makao, portfel i kieszenie Mietka były puste. W „Kongresowej” jadł niewiele, ale pił w barze do białego rana. Zrobiłem kiepski interes...

Najczęściej i najchętniej powiadamy, że „szczęście sprzyja lepszym” lub że „szczęściu trzeba pomóc”. Stare, zawile to prawdy, ale przecież wiecznie żywe. Na początku lat siedemdziesiątych, zaraz po klubowych sukcesach Górnika i Legii w europejskich rozgrywkach pucharowych, w polskim futbolu reprezentacyjnym pojawiło się kilku ludzi, o których zaczęto mówić, że „są w czepku urodzeni”. A to podobno synonim szczęścia i dzieło sił nadprzyrodzonych. Wtedy dało to PZPN-owi kilku nieco inaczej myślących prezesów i... charyzmatycznego selekcionera.

Odegrali pozytywną rolę zwłaszcza w ożywieniu reprezentacyjnego piłkarstwa. Aż mi żywiej serce pikało. Wyniesiono tę nową falę do rangi „twórców sukcesów”. Za odwagę i próbę obalenia stereotypów! Nowi ludzie postawili na priorytet drużyny narodowej i rozumną współpracę z klubami. W poprzednim układzie personalnym było to praktycznie niemożliwe, a trener Koncewicz uparcie twierdził, że ligowcy nie pracują na miarę potrzeb reprezentacji. Prezesi bronili racji klubowych. To nie mogło się podobać. Czas apodyktycznego „Fajki” nieubłaganie się kończył. Kto go zastąpi?

Prezes PZPN Wiesław Ociepka, wtedy jeszcze średniego szczebla funkcjonariusz centralnego aparatu partyjnego, nie miał wątpliwości: postawił na Kazimierza Górskiego. Przemawiały za tym nie tyle osobiste sympatie i nieco inne spojrzenie kandydata na ówczesny futbol, ile jego dotychczasowe do-

świadczenie i sukcesy w pracy z niezwykle utalentowaną grupą zawodników z drużyny młodzieżowej. Poza tym Górski był ceniony w centrali za bezpośredniość, koleżeńskość i partnerski stosunek do działaczy, trenerów i zawodników. W końcu grudnia 1970 roku ogłoszono więc w PZPN stosowny komunikat.

...Prezydium PZPN postanowiło podziękować trenerowi kadry narodowej i kierownikowi Wydziału Szkolenia Ryszardowi Koncewiczowi za dotychczasową pracę i zwolnić go z dniem 1.XII.1970 roku z pełnienia tych funkcji. Równocześnie prezydium postanowiło powierzyć pełnienie obowiązków trenera reprezentacji narodowej i selekcjonera trenerowi Kazimierzowi Górskiemu.

Decyzję tę jednak nie wszędzie przyjęto z entuzjazmem. Pojawiły się bałamutne opinie: – *„Powstaje po Koncewiczu próżnia, której łatwo i szybko nie da się zappełnić”*. Nie mogłem się z tym zgodzić, ale na wszelki wypadek pisałem ... **„Osiągnięcia Kazimierza Górskiego w nowej roli zależą będą w ogromnej mierze od życzliwości prasy, zrozumienia jego trudnych zadań przez opinię społeczną oraz właściwego stosunku działaczy, trenerów klubowych i samych zawodników do drużyny narodowej”**.

Niby nic tu nowego. Oklepane komunały i kolejne pobożne życzenia, ale przypomnieć to należało. Górskiemu potrzebny był dobry klimat dla pracy z reprezentacją, lepszy niż ten z czasów Koncewicza. Kierownictwo PZPN już to zapewniało, nowy trener kadry był jednoosobowo odpowiedzialny za selekcję, tworzenie drużyny i jej wyniki. Wątpliwości mogło budzić tylko całkowite odsunięcie Koncewicza do pracy w PZPN. Był przecież dobrym kierownikiem wyszkolenia. Intencje PZPN i tu były nowatorskie. Zmierzano do zapewnienia Górskiemu pełnej swobody w podejmowaniu decyzji. Angażując innego kierownika szkolenia, chciano przede wszystkim uniknąć „powtórki z historii”, kiedy to Koncewicz z tylnego siedzenia wpływał na pracę z reprezentacją Brzeżańczy-

ka i Matyasa. Uznano, że takich praktyk zdoła uniknąć Jerzy Talaga. Każdy ma uprawiać własny ogródek.

Zbliżało się kolejne Walne Zgromadzenie Sprawozdawczo-Wyborcze PZPN. Czy podejmie zasygnalizowane problemy i będzie wreszcie skutecznie je realizować? Podsunąłem delegatom kilka „spraw do załatwienia”:

„Dobrych pomysłów i rozumnych koncepcji nigdy nie brakowało w środowisku piłkarskim, ale z reguły zawsze znacznie gorzej było z wcieleniem ich w życie. Powierzano te zadania złym działaczom, najczęściej hobbystom, a nie fachowcom. Nakazem chwili jest szybka zmiana dotychczasowych praktyk. Dość już mamy propagandowego pobrzękiwania szabelką i pokrzykiwania, że „jakoś to będzie”. Nie będzie! Ludzie, którzy nie zdali egzaminu, ci wszyscy, którzy nie rozumieją nowej sytuacji, potrzeb piłkarstwa i swoich zadań, nie mogą liczyć na poparcie, muszą odejść z naszego Związku... Każdy działacz szczebla centralnego musi wreszcie nauczyć się współżycia z ludźmi i liczenia się z opinią szeregowych działaczy. Karierowiczów trzeba relegować z naszego piłkarstwa. Atmosfera w polskim futbolu jest zła, a społeczeństwo to dostrzega. Nie chce być biernym obserwatorem”.

Gdy spojrzy się na te uwagi dziś, kiedy sukcesów reprezentacji brak, a o dobrą atmosferę w polskim futbolu jest równie trudno jak wtedy, to wydają się być trafne i w dużym procencie ponadczasowe. Jednak nie wszędzie przyjęto je przychylnie. Na szczęście obrady Walnego Zgromadzenia PZPN, mimo że było ono „wyborcze”, przebiegały w nastroju zrozumienia i ożywczej fali. Prezesem ponownie został Wiesław Ociepka. Krytyczny referat sprawozdawczy i rozsądne nakreślenie „**Głównych kierunków natarcia PZPN w latach 1971 – 1974**”, wyraźnie wzmocniło nowe władze.

W latach 1956 – 1971 byłem pilnym obserwatorem wszystkich Zlotów – Zjazdów – Sejmików – Zgromadzeń PZPN. Właśnie to – z marca 1971 roku

było moim zdaniem jedno z najlepszych w powojennej historii PZPN. Sprawy personalne nie były tym razem najważniejsze, ale dobrze przemyślane. Optowano za ludźmi świątłymi, patrzącymi dalej i szerzej, niż własne podwórko, cieszącymi się w środowisku autorytetem i zdolnych do samodzielnego myślenia. Przepojonych duchem społecznej odpowiedzialności, a nie zapatrzonych tylko we własne kluby. Świątli delegaci przyjęli ten kierunek ze zrozumieniem, natomiast ci z klapkami na oczach, zaściankowcy i partykularyści poczuli się dotknięci. Byli jednak w mniejszości. Raziło ich wystąpienie Wiesława Ociepki:

...„Nie potrafimy przeciwstawić się niezdrowym, często wręcz szkodliwym tendencjom, wypaczającym czyste idee sportu. Piłka nożna jest w naszym kraju dyscypliną numer jeden... Niepokoi jednak występująca tu i ówdzie opieszałość, konserwatyzm i słaba operatywność w pracy, także w wielu ogniwach kierowniczych i prezydium Związku... Wizytówką, wykładnikiem poziomu i wartości naszego piłkarstwa jest reprezentacja... Istniejący w przeszłości konflikt na linii KLUB – REPRESENTACJA musi być ostatecznie zażegnany. W latach 1971 – 1974 wszystkie decyzje i poczynania PZPN muszą służyć poprawie poziomu i wyników reprezentacji. Nie brak w Polsce wartościowych piłkarzy. Nie wolno zaprzepaścić ich talentów!”

Kierownik wyszkolenia Jerzy Talaga, selekcjoner Kazimierz Górski i wkrótce jeden z jego asystentów Jacek Gmoch zacierali z zadowolenia ręce. Priorytet reprezentacji! Mnie osobiście przypomniały się czasy, kiedy zaczynałem pracę zawodową w „Przeglądzie Sportowym” i musiałem wysłuchiwać bzdurnych poglądów i równie szkodliwszych decyzji o zaliczeniu piłki nożnej do czwartej kategorii sportów w ludowej Polsce. Teraz sam prezes z klucza partyjnego oznajmia z trybuny zjazdowej, że „*piłka nożna jest w naszym kraju dyscypliną numer jeden*”. Słyszę to i myślę: – Ludzie kierujący tym sportem nie mogą być przypadkowi, przeciętni, niekompetentni.

Przywrócono należną rangę reprezentacji. Kazimierz Górski miał powody do zadowolenia, snuł optymistyczne plany: ...W najbliższych dwóch latach przed polskim piłkarstwem stoją dwa bardzo ważne zadania. Pierwsze – to zgodny z życzeniami opinii społecznej pomyślny udział drużyny narodowej w rozgrywkach o mistrzostwo Europy, drugie – to odpowiednie przygotowanie zespołu olimpijskiego do wstępnych spotkań eliminacyjnych z reprezentacją Grecji. Ambicją nas wszystkich jest awans piłkarzy do ćwierćfinałów mistrzostw Europy i udział „olimpijczyków” w turnieju finałowym w Monachium... Wspólne w Jugosławii zgrupowanie szkoleniowe drużyn klubowych Górnika i Legii oraz kadry narodowej wydaje się być właściwą formą rozwiązywana nieporozumień na linii klub – reprezentacja.

Co z tych planów udało się zrealizować? W eliminacjach mistrzostw Europy nasz zespół rywalizował z piłkarzami Albanii, NRF i Turcji. Od początku wiadomo było, że w tym towarzystwie o ewentualnym powodzeniu „biało-czerwonych” zadecydują mecze z Niemcami. W sytuacji, kiedy akcje Górnika i Legii wyraźnie spadły, ich składy się kruszyły i nie widać było postępów, trudności się piętrzyły. Górnik przeżył szczyt swoich możliwości w meczach z Romą, a Legia ze Standardem Liege. W roku 1971 swój udział w międzynarodowych rozgrywkach zakończyły na meczach z Atletico Madryt (Legia) i Manchesterem City (Górnik). Czy po tych potknięciach drużyn klubowych można będzie wreszcie mówić o „czasie reprezentacji”?

Ambicją Kazimierza Górskiego było odrodzenie ducha wśród piłkarzy. Tymczasem liga grała słabo. Zaczęło się równanie większości drużyn nie do Górnika i Legii sprzed roku, to znaczy w górę, tylko do ROW-u Rybnik i GKS Katowice – to znaczy w dół. Taki był ogólny ton wystąpień na tradycyjnej już sezonowej konferencji szkoleniowej. Podczas tej narady szczególnie pilnie wysłuchałem dwóch wypowiedzi:

Tadeusz FORYŚ (przewodniczący Rady Trenerów): ...Przede wszystkim zawiodły drużyny: Legii, Ruchu, Zagłębia Sosnowiec i Polonii Bytom. To w efekcie pozwoliło zespołom Zagłębia Wałbrzych, Pogoni Szczecin, Szombierk i Stali na zajęcie tak wysokich miejsc w tabeli. Poza Górnikiem Zabrze we wszystkich drużynach widoczne są duże braki kadrowe. Legia ma dobrą tylko pierwszą jedenastkę i... zupełny brak rezerw. Zagłębie Sosnowiec w ogóle nie ma drugiej linii, Ruch – dobrej obrony, a Polonia Bytom – napadu.

Stanowczo za mało jest w naszej lidze wybitnych zawodników, wyszkolonych wszechstronnie i uniwersalnych. A ci, których mamy, w porównaniu z europejską czołówką, grzeszą brakiem szybkości i skoczności. Obserwujemy coraz gorszą grę bez piłki. Jeżeli uzmysłowimy sobie niedomagania z zakresu techniki i braki kondycyjne, to znajdziemy przyczyny źle realizowanych założeniach taktycznych.”

Kazimierz GÓRSKI (selekcjoner): ...Wiosną 1971 roku nie mieliśmy reprezentacyjnej drużyny na miarę naszych potrzeb. Gubiła punkty w mistrzostwach Europy, tylko „olimpijczycy” dość łatwo przeszli do następnej rundy eliminacji. Utwierdziłem się jednak w przekonaniu, że grając tak, jak dotychczas, mam tu na myśli zarówno sam sposób gry, jak i ustawienie zawodników na boisku, także ich formę, nasi piłkarze nie sprostają drużynie RFN. Schemat taktyczny 1+4+3+3 jest dziś już nieco przestarzały i zbyt przejrzysty, trudno więc takim wariantem zaskoczyć przeciwnika. Retusze w ustawieniu zawodników muszą pociągnąć za sobą zmiany personalne, jeśli chcemy i musimy grać inaczej i lepiej.

– Będę stawiał na zawodników wszechstronnie wyszkolonych, ale tylko na tych i tylko wtedy, kiedy będą w dobrej formie. Stanowczo za dużo tkwi w osobowości naszych piłkarzy złych nawyków i skłonności do wygodnictwa. Nie mam zbyt dużego wyboru. Wśród napastników wiosną w słabszej formie byli nawet: Gadocha, Jarosik i Wilim. Tylko kandydatury Lubańskiego i Banasia nie budziły

żadnych wątpliwości. Zmiany personalne przewiduję głównie w obronie i drugiej linii. W obronie, obok Wrażego i Anczoka, chętnie widziałbym Gorgonia, Zygmunta i Musiała. A w pomocy?... Pewniakiem jest tylko Szoltyśnik. W nowym ustawieniu może zabraknąć miejsca nawet dla Deyny... Dla Blauta przewiduję szczególną rolę w drużynie: widzę w nim głównego kandydata do funkcji „libero”. Aby ustrzec się błędów, wszystkie te zamierzenia sprawdzę kilkakrotnie w spotkaniach sparingowych z drużynami zagranicznymi.

Dostrzeżone również przeze mnie „równanie w dół” oraz uwagi krytyczne Tadeusza Forysia i Kazimierza Górskiego potwierdziły tezę, że nie wolno zwalniać tempa pracy, bo łatwo można się stoczyć w przepaść. Dna piłkarze jeszcze nie osiągnęli, ale powodów do zachwytów też już nie mieli. Przed rokiem, po występie Górnika w finale Pucharu Zdobywców Pucharów „na salonach” Ministerstwa Spraw Zagranicznych zawodników z Zabrze uznano za „ambasadorów Polski w Europie”, teraz po kątach przebąkiwano, że był to li tylko przejaw błyskawicznie rozrastającej się „propagandy sukcesu”. Teraz trudno było by czymkolwiek się pochwalić.

Tak czy inaczej dobra w roku 1970 postawa Górnika i Legii w europejskich rozgrywkach pucharowych spotęgowała zainteresowanie polską piłką nożną. Pisanie o futbolu stało się modne, głównie napastliwe, bo to znacznie łatwiejsze, niż rzeczowa ocena. Coraz więcej było „fachowców”. Teraz niemal każdy, kto potrafił utrzymać w palcach długopis lub trafić w klawisze maszyny do pisania, wygłaszał pseudonaukowe rozprawy o piłkarskiej strategii i taktyce. Starano się pouczać trenerów klubowych, a nawet selekcjonera Górskiego. Wołało to o pomstę do nieba. Miał utrudnione zadanie, bo niemal cała liga zasmakowała w szkoleniowym dolce far niente. Nawet Górnik i Legia słabły w oczach. Narastała „huśtawka formy”, zawodzili nawet „pewniacy”.